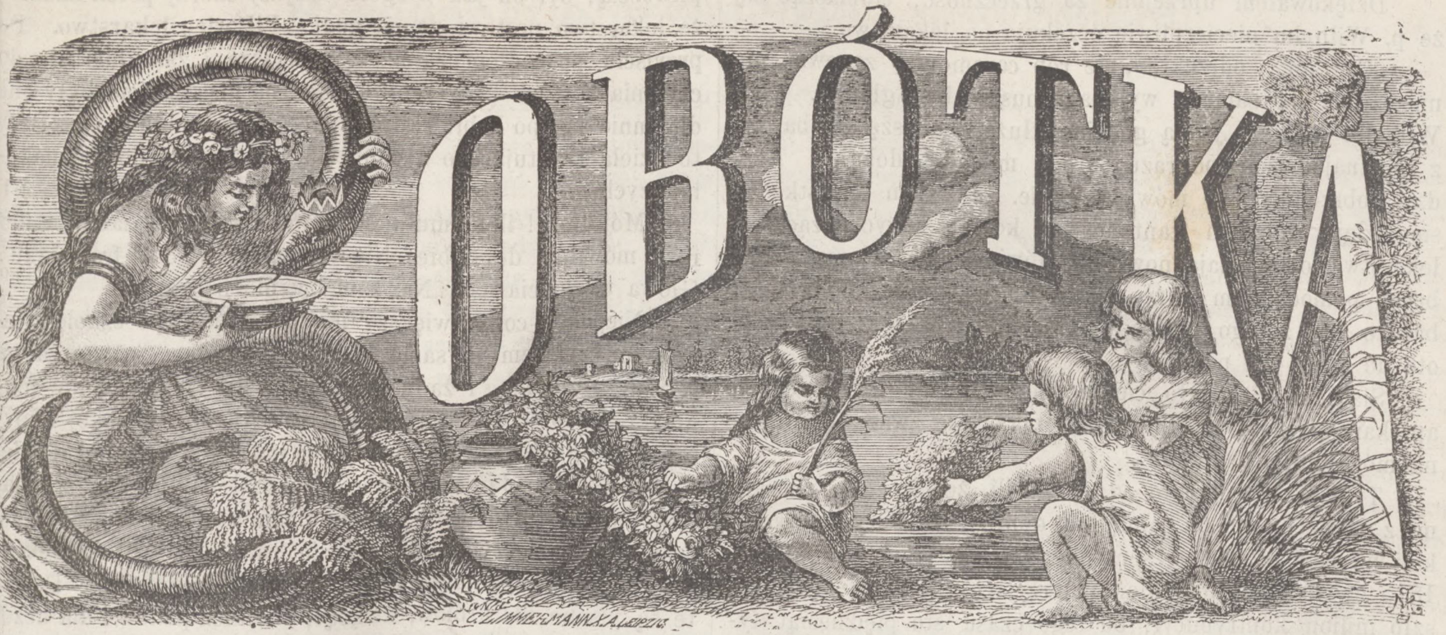
Nr. 42. Poznań, dnia 14. Października 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

Domyśliłem się, że był to doktor Deleuze z Lorquin, o którym p. Wilhelm od początku swojéj słabości, bezustannie mówił. Znalazł on pana Wilhelma bardzo słabym; reumatyzm z nóg przechodził do krzyża, co niepozwalało mu na chwilę usnąć. Ponieważ trudno było z powodu wielkich śniegów znaleść okazyę do Lorquin, pani Katarzyna była w wielkiem ambarasie. Okazyi nie było, a umyślny posłaniec kosztuje zbyt drogo. Niechcąc gospodyni kłopotu przysparzać, ofiarowałem się pójść nazajutrz t. j. we czwartek, w dniu rekreacyi do Lorquin. Pani Katarzyna ofiarę przyjęła i po śniadaniu puściłem się w drogę.

Dróg budowanych niebyło wtenczas, a śnieg tak leżał wysoko, że na przejście dwóch mil potrzebowałem przeszło trzech godzin. Krótko przed południem stanąłem w aptece p. Rogoine, będącéj na Rynku. Mały handelek był przepełniony chłopami oczekującymi na lekarstwa. Za kantorem stał człowiek w którym rozpoznałem tego samego co mi niegdyś wskazał drogę do Chêne-Fendu. Spostrzegłszy mnie krzyknął:

„To pan jesteś!... Przychodzisz po lekarstwo dla p. Wilhelma... za chwilę będzie gotowe!... Jakże się ma stary?“

„Zawsze tak samo. Cierpi bardzo.“

„Tak... tak... to stary reumatyzm... bardzo dokuczliwy; ale nie umiera się z tego. Wejdź Pan, wejdź do pokoju, rozgrzéj się, bo musisz być zziębnięty. Pogawędzimy trochę.“

W téj saméj chwili otworzył drzwi na lewo i wepchnął mnie do pokoju, w którem siedziało już w koło pieca kilku włościan zamożnie ubranych. Stara służąca nakrywała do stołu. Usiadłem i z rozkoszą rozgrzewałem zmarznięte członki.

W kwadrans potém p. Regoine wszedł kulejąc; z twarzy widać było zadowolnienie.

„Tak!“ mówił trąc ręce, „wszystko skończone, możemy siąść do obiadu. Zimą zawsze jest wielu chorych; od rana na chwilę nie mogłem opuścić apteki. Maryo! przynoś zupę. Zimno wpływa bardzo na apetyt. Następnie zwracając się do mnie i podając flaszkę: „Oto lekarstwo p. Wilhelma“, rzekł, „powiedz mu żeby brał trzy razy na dzień po łyżeczce i za każdą razą skłucił butelkę.“

A ponieważ wstałem i zabierałem się do wyjścia, „co to jest?“ rzekł ze zdziwioną miną. „Musisz zjeść z nami obiad.“

Dziękowałem uprzejmie za grzeczność, tłomacząc się że p. Wilhelm niecierpliwie oczekuje na lekarstwo.

„Co tam“, odrzekł, „nie rób ceremonii; zapewne nic nie jadłeś od samego wyjścia; musisz być głodny. Pan Wilhelm zaczeka jedną godzinę dłużéj! Cieszę się bardzo z téj znajomości; od razu bardzo mi się podobałeś. Bardzo dobrze wszyscy mówią o tobie. Ja wiem wszystko co się dzieje w całym kantonie — kobiety przychodzące po lekarstwa opowiadają nowiny. Mówiono mi, że jesteś dobrym pomocnikiem i że sumiennie wypełniasz obowiązki; bardzo się z tego cieszę. Lubię ludzi pracowitych! Ale oto do stołu już podano.

Siadłem nieśmiało ciesząc się w duszy z tego co mi aptekarz powiedział. Inni siedli także nie zwracając uwagi na mój ambaras.

Tyle już lat minęło od téj chwili, że szczegóły uleciały mi z pamięci, ale to pamiętam dobrze, że wszyscy wyrzekali na barbarzyństwo sprzymierzonych; trzeba było w r. 1815 żywić przeszło milion nieprzyjaciół i zapłacić im przeszło milion kontrybucyi; od tego czasu sto pięćdziesiąt tysięcy, które zajmują fortece, kraj musi żywić i opłacać. Pomimo tego wszystkiego królowie nie są jeszcze zadowolnieni! Oto znowu żądają przeszło milion za straty wojenne, których doznali od czasu Ludwika XIV. Jak w takiéj nędzy w jakiéj się Francya dzisiaj znajduje, zapłacić tę sumę? Biedni ludzie byli w rozpaczy. Jeden z nich wysoki, rudy z twarzą ospowatą mówił, iż wszystkiego złego przyczyną są zdrajcy i że długi Francyi trzeba było płacić strzałami armatniemi.

Z rozmowy téj zapiętałem uwagi nad kwestyą wychowania. Pan Regoine dowiedziawszy się, że za pracę moją pobieram tylko pięć franków na miesięc, był bardzo tém zgorszony.

„Wstyd to dla naszego kraju“ mówił, „ażeby zdolny pomocnik nauczyciela, dobrego prowadzenia i sumiennie wypełniający obowiązki, był płacony jak stróż miejski. Ciemnota ludu jest ze wszystkiego złem najgorszem; powinni więc dla tych którzy przeciw niéj walczą, zapewnić przynajmniéj chleb powszedni. Ciemnota ludu zgubiła naszą rewolucyę. Chcąc mieć dobrą organizacyę szkółek, potrzeba na to pieniędzy. Niech uwolnią nauczycieli od wszelkich postronnych wpływów, niech zrobią ich niepodległymi, niech płacą dobrze, niech nominacye rozdzielają przez konkursa, a w ciągu lat dziesięciu wszyscy umieć będą czytać, pisać, rachować i... rezonować...

Tak mówił aptekarz i wszyscy potwierdzali. Ja słuchałem z największą ciekawością i cieszyłem się z tych uwag niewymownie.

W końcu p. Regoine widząc moją ochotę do nauki, pożyczył mi książek, z którymi około godziny drugiej wyruszyłem w drogę.

Pan Wilhelm oczekiwał powrotu mego z wielką niecierpliwością; był on jak w ogóle wszyscy chorzy pełen nadziei, że lekarstwo postawi go na nogi. Pił więc lekarstwo. Po przyjściu poszedłem zaraz na poddasze i zabrałem się do czytania książek pożyczonych, lecz na nieszczęście były one dla mnie jak po hebrajsku pisane, nie rozumiałem nic. Były to dzieła traktujące o wychowaniu i zaliczane do najznakomitszych.

Mój Boże! ileż smutku z powodu tego doznałem i ileż razy mówiłem do siebie: Nie rozumiesz więc po francuzku? Głowa twoja ciasna! Nic z ciebie nie będzie!

Niepokój coraz większy mną ogarniał; po szkole wieczorem czytałem to samo com czytał zrana, powtarzałem wyrazy i zdania, i żadnéj jasnéj myśli wyciągnąć nie mogłem. Nakoniec p. Wilhelm spostrzegł mój niepokój i spytał o jego przyczynę. Powiedziałem mu otwarcie całą prawdę.

„He! mój Janie Baptyście“, rzekł na to, „nie rozpaczaj; od lat trzydziestu jestem w tém samém położeniu. Po razy sto rozpoczynałem czytanie, ale jest to tak piękne, tak mądre i wspaniałe, że nic zrozumieć nie można. Dzieła te są pisane dla królów, książąt, wielkich panów i dla uczonych; trzeba długo i bardzo długo uczyć się, żeby je dobrze zrozumieć. O ludzi z dołu, o robotników, chłopów, mało-mieszczan nikt się nie troszczy; wół ciągnący pług nie ma potrzeby rozumieć dla czego to robi... byle tylko szedł... szedł... byle wypełniał rzemiosło, to wszystko czego wymagają od niego.“

Z początku słowa te nauczyciela zdziwiły mię nieco, ale teraz przyznać muszę, iż miał zupełną racyę. We Francyi istnieją dwa języki; język wielkiego świata i język ludu. Dzieła piszą się zwykle dla tych wielkich, a dla ludu nic się nie robi: i w ten sposób nie mamy literatury popularnéj, nie mamy nawet dobréj gramatyki. Oto przykład: powszechnie na zapytanie co jest gramatyka, znajdujemy odpowiedź: „Gramatyka francuzka jest sztuka poprawnego mówienia i pisania po francuzku“. — Co to ma oznaczać, sztuka?

Czy dzieci wiejskie zrozumieją wyrażenie: sztuka mówienia? A poprawnie? Czy lud posługuje się tym wyrazem? Czy robotnicy, chłopi a nawet my sami, mówimy pracować poprawnie, mówić poprawnie? Na dziesięć tysięcy dzieci, żadne nie zrozumie tego; powtarzają jak papugi i nic więcéj. Jeżeli byłoby powiedziane: Gramatyka jest książka z prawidłami do nauczania się mówić i pisać bez omyłki — najmniéj zdolny zrozumie od razu.

Uwagi p. Wilhelma o tyle poskutkowały, że zaniechałem czytania i przysposabiać się zacząłem do egzaminu na uzyskanie świadectwa. Wszystkie chwile wolne temu tylko poświęcałem. Nawet pan Wilhelm mówił:

„To zanadto, Janie Baptyście, to zanadto, skończy się na tém, że zachorujesz.“

Ale tych uwag nie słuchałem, tak że z ciągłego czytania w głowie mi się kręciło.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Pokłady soli pod Inowrocławiem.

Już za panowania Stanisława Augusta wygotowywano z źródeł słonych pod Śliwnikami sól, już wtenczas znano wiele innych źródeł, których woda słonym smakiem się odznaczała. Dość już dawno znane i odwiedzane bywały kąpiele w Ciechocinku. Ciechocinek leży o trzy mile na zachod od Torunia, tuż za granicą księstwa, przy Aleksandrowie, zkąd koléj poboczna do samego miejsca dochodzi. Woda ze źródeł dobywana, bywa przepuszczaną przez tak zwane saliny czyli tężnie, przez co się oczyszcza z rozmaitych innych części składowych a zarazem i zgęszcza — zgęszczona dopiero dostaje się we wielkie kotły, gdzie ją gotują — w postaei pary ulatnia się woda, a w naczyniach pozostaje czysta skrystalizowana sól kuchenna. Rurami wodę słoną sprowadzają do łazienek, gdzie służy do kąpieli, a niejeden szukający zdrowia po obcych wodach, mógłby znaleźć na ojczystéj ziemi tę samą ulgę w cierpieniach. Wody te bywają dość licznie odwiedzane przez mieszkańców królestwa, głównie więc tam przebywają Polacy — rzadziéj Moskale — najrzadziéj widuje się Niemców. Z Księstwa dla kuracyi nikogo prawie nie bywa, choć liczba leczących się przechodziła tego sezonu 2000 osób. Prócz kąpieli — oddychania powietrzem przy tężniach — pije się tu i woda miejscowa, lub sprowadzana z innych wód. Lecz przejdźmy do naszego dzisiejszego zadania — z czasem bliższe podamy szczegóły o Ciechocinku.

Źródła słone znajdujemy na przestrzeni prawie 25 mil, idące pasem od Łęczycy aż pod Nakło. Pas ten ciągnie się z południa wschodu, ku północy zachodowi między Wisłą a Wartą. Pusch w swym opisie ziemioznawczym Polski, bliżéj określa miejsca odznaczające się źródłami słonemi, podając zarazem rozbiór chemiczny ich wody. Miejsca takie pod których powierzchnią znajdują się pokłady soli, poznać się dają przez rośnięcie na nich rośliny Soliród zielny (Salicomia herbarea) — daléj powierzchnie te po deszczu lub mocnéj rosie, na które słońce działa, pokrywają się srebrnym całunem, utworzonym z kryształów soli. Ludowi naszemu prostemu bydło wskazuje pokłady soli, chodzi ono bowiem chętnie w takie miejsca, liżąc ziemię. Bliżéj zwykle powierzchni ziemi leżący gips jest także wskazówką pokładów soli — gips bowiem zawsze prawie jest jéj towarzyszem. We Wapnie, znanéj u nas prawie każdemu wsi, również od dawna wiedziano, że znajdują się tam pokłady gipsu, a z czasem może i tu odkryć zdołają pokłady znaczniejsze soli.

Próżno już od dawnych czasów szukają w Inowrocławiu źródeł — któreby dostarczały wodę twardą do picia, brak wody w ogóle tak wielki — że kupować mieszkańcy ją są zmuszeni. Kiedy w roku 1841 magistrat tego powiatowego miasteczka chciał koniecznie studnię w środku rynku urządzić a przy świdrowaniu zawsze tylko wydobywano wodę słoną — powzięto zamiar świdrowania bardzo głęboko, spodziewając się w końcu trafić na źródło wody słodkiéj. Radzca górniczy Hoffmann zwrócił wtenczas magistratowi uwagę, że im głębiéj kopać będą — tém bardziéj słonę wodę dostaną — że się spodziewa nawet znacznego pokładu soli, wnioskując z gipsu tak obficie pod powierzchnią ziemi się znajdującego. Kapitan górniczy Ocynhausen tak samo się oświadczył jak Hoffmann, a mając na względzie łatwiejszą komunikacyą proponował rządowi, by tenże przy Baranowie, wsi między Nakłem a Szubinem położonéj, soli szukał. Do tego projektu nakłaniał go daléj brak borów w okolicy inowrocławskiéj. Nadzieje jednakże tu omylonemi zostały — świder bowiem na 557 stóp zapuszczony dostarczał tylko wodę mającą $1\frac{1}{4}\,\%$ soli. Rząd widząc, że zupełnie bezkorzystnemi by były dalsze poszukiwania, zaniechał ich w roku 1848.

W roku 1868. postanowiło Towarzystwo górnoszląskie kolei żelaznéj poprowadzić koléj z Poznania do Bydgoszczy przez Inowrocław, z którego to miasta ma się budować koléj wprost do Torunia. Z Inowrocławia w ten sposób w trzech kierunkach koléj rozchodzić się będzie a ponieważ i daléj jeszcze jest w projekcie uczynić górną Noteć od Nakła do Gopła spławną — co nie będzie tak wielkim podpadało trudnościom, rząd uznając to powziął zamiar szukania soli przy samym Inowrocławiu. Świder zapuszczono przy żwirówce toruńskiéj tuż na krańcu miasta, a kiedy 15 stóp był zagłębiony znaleziono już różnokolorowe glinki, świder przechodził daléj rozmaite pokłady już to piaskowca, już też gipsu lub gliny aż do 315 stóp głębokości. Odtąd jest pokład czystego gipsu aż do 413 stóp głębokości, gdzie się rozpoczyna pokład soli. W dniu 22. Marca r. b. pierwszą wyciągnięto łyżkę soli — sól ta jeszcze trochę przez gips zanieczyszczona nie odznaczała się wielką białością a tém więcéj nieodznaczała się słonym smakiem. Zdaje się, że Inowrocław właśnie był punktem najwłaściwszym do szukania soli — w Baranowie, już w zwyż powiedzieliśmy, nadzieje zawiedzione zostały — również bezskutecznemi były poszukiwania w Ciechocinku. Po roku 1840 w ostatniem miejscu świdrowano, a z głębokości 1172 stóp, zapuszczony świder tylko wydobywał wodę mającą 4 do 5 % soli.

Dotąd już świder zapuszczono przeszło 300 stóp w ziemię i wydobyto przy tém przeszło 500 cetnarów soli. Sól wydobywana obecnie jest nie tylko smaczna, ale czysta i biała. Rząd widząc, że wydobędzie tu wielkie skarby, a uznając zarazem, że ręce ludzkie z trudnością wydołają dalszéj pracy — sprowadza lokomobilę — za pomocą któréj daléj świdrować mają. Tymczasem założono machiny znów w dwóch miejscach, aby się przekonać jak szerokim jest pokład. Oba te punkta znajdują się na Zachód od miejsca, w którem najprzód świder zapuszczono. Świdrowania te w ogrodzie hotelu p. Basta i na gruncie p. Pielke dotąd jeszcze żadnego nie wydały rezultatu.

Bogactwo odkryte, o którego bycie powątpiewać już nie można, którego rozmiarów dziś jeszcze dokładnie obliczyć

nie podobna, budzi w nas nadzieję, że w kraju naszym będziemy mieli drugą Wieliczkę. Mając zaś na uwadze, że i wapno w okolicy Inowrocławia i pod Barcinem prawie pod powierzchnią się pokazują, możemy się spodziewać, że i tego artykułu większe pokłady się odkryją, że z czasem zaprzestaniemy je sprowadzać z Gogolina, Rudersdorfu i innych miejsc, że naszem wapnem u siebie budować będziemy i że je jak naszą kujawską pszenicę w dalekie strony wysyłać będziemy mogli. Węgiel zaś brunatny, który gdzie niegdzie się pokazuje, będzie bardziéj poszukiwany, bo więcéj potrzebny.

Kopalnie wymagają więcéj ludzi; otworzy się téż dla ludu naszego nowa gałąź zarobku. Z zarobkiem polepszy się byt, z nim znów podniesie się w okolicy oświata. Z czasem powstaną fabryki chemiczne, które miasto to dziś tylko 7000 mieszkańców liczące, podnieść muszą. **Dr. K.**

Przebicie Alp.

I.

Prawie w chwili, w której czytelnik wyrazy te czyta, miała miejsce uroczystość otworzenia tunelu Alpejskiego. Pierwszy pociąg unosząc przedstawicieli Francyi i Włoch, inżynierów i gości, przebył już wnętrzności skał nieba sięgających. Największe dzieło czasów współczesnych, a przynajmniéj najwięcéj wzbudzające podziwu, zostało ukończone. Na dokonanie tego olbyzymiego przedsięwzięcia, które przez czas długi uważane było jako niemożliwe, trzynaście lat poświęcono!

Wielu bardzo, aż do ostatniego uderzenia młotu, niedowierzało szczęśliwemu ukończeniu olbrzymiego przedsięwzięcia. Bo też rzeczywiście, jak górę mającą 3,000 metrów wysokości i 12,000 szerokości, przebić na wylot?

Z kąd wziąść powietrza dla robotników na 2,000 metrów pod ziemią? Jakim sposobem łamać skały na długości tak olbrzymiéj? Jak, z dwóch stron przebijając, spotkać się w jednym punkcie? Czy w tych pokładach wapiennych i kwarcu niezbłądzi się łatwo? Uwag nie brakło.

Imaginacya pessymistów wynajdywała niestworzone przeszkody. Mówiono, że się w łonie gór napotka żyły metaliczne, których miny rozsadzić nie będą wstanie; mówiono daléj o suterenach ukrytych, o przepaściach nie zmierzonych, o temperaturze niedowytrzymania i o masach wody. Czy téż nie istnieje, pytano się, pod Mont-Cenis jezioro, o którem mówi legenda, iż jest niezgruntowane? Jeżeli przebiją skorupę pokrywającą tę wodę; co za zniszczenie! widziano już tonących robotników i całą dolinę l'Arc zagrożoną nowym potopem.

Fakt zniszczył te wszystkie obawy. Mechanika współczesna zwyciężyła przeszkody, a kilka źródeł spotkanych pożyteczne były dla robotników, potrzebujących wody do prac swoich. Co więcéj, jezioro Mont-Cenis, którego się obawiano, jest położone o trzydzieści kilometrów na Północ od miejsca, w którem galeryę przebito. Nazwa „tunelem Mont-Cenis", pochodzi z przyzwyczajenia; w rzeczywistości jest ona fałszywą, bo tunel góry téj nie przerzyna. Inżynierowie szukali najwęższéj przestrzeni i po długich szperaniach znaleźli ją w wąwozie, oddzielającym Modane od Bardonneche, prawie u stóp Mont-Cenis. Szerokość Alp w tym miejscu jest 12,233 metry.

Od strony Francyi tunel otwiera się z boku góry, na 150 metrów powyżéj wioski Fourneaux, położonéj o $2^1/_2$ kilometry od Modane. Od strony Włoch wejście do galeryi jest w samem Bardonneche.

Historya powstania tego przedsięwzięcia mało w ogóle jest znaną. Chcąc przedstawić dokładny obraz projektów, które zrodziły ideę śmiałą przebicia Alp, musimy się cofnąć aż do r. 1852. W téj to epoce, zwykły geometra, Józef Medail, proponował królowi Karolowi Albertowi wykonanie tunelu w tém właśnie miejscu, gdzie dziś istnieje i połączenie go z koleją żelazną przechodzącą przez Maurienne do Chambéry. Ale wskazanie punktu odpowiedniego do przebycia gór nie wystarczyło; potrzeba było wynaleść sposób rozbijania skał i sposób wielkiéj wentylacyi.

W roku 1845. inżynier belgijski, Mans, otrzymał wezwanie od Karola Alberta w Piemoncie do rozebrania zadania przebicia Alp. Mans wynalazł maszynę uzbrojoną nożycami, które z niewyczerpaną siłą rozcinały skały.

Wojna przeciw Austryi i wypadki następne nią spowodowane, kazały zapomnieć o Mans i jego wynalazku. Kiedy w Piemoncie i Sabaudyi opinia publiczna do ulubionego przedsięwzięcia wróciła, stanęły znowu na przeszkodzie poważne zarzuty przeciw systematowi inżyniera belgijskiego, a prócz tego finanse kraju, z powodu kontrybucyi płaconéj Austryi, były w bardzo złym stanie. Raz jeszcze zarzucono z tych powodów wykonanie projektu, który dotąd kosztował państwo przeszło czterdzieści milionów.

Kto zna reformy ekonomiczne przeprowadzone przez Cavoura, komu nie są obce zachęty dawane przez niego kolejom żelaznym, ten się dziwić nie będzie, że pod jego rządami i projekt przebicia Alp znowu się odrodził. Ażeby go przygotować i zrobić na przyszłość koniecznym, minister piemoncki zaczął od przeprowadzenia linii po obu stronach spadku Alp. Rząd piemoncki zobowiązał się wybudować kolej żelazną z Suze do Turynu, a na linię po drugiéj stronie, Modane Sabaudia, do linii liońskiéj, koncesya była dana kompanii francuzkiéj. Prace te poprzedzały wielki tunel.

W r. 1855. inżynier angielski Bartlett zaproponował do przebijania bardzo dowcipną maszynę parową. Na pierwszy rzut oka, ciekawy widział przed sobą prostą lokomobilę, ale do tłoka maszyny parowéj dodany był drugi tłok napełniony powietrzem, którego słup uzbrojony był drągiem żelaznym. Drąg tak urządzony robił 300 uderzeń na minutę i rozbijał skały 20 razy prędzéj, niżeli pracą rąk ludzkich.

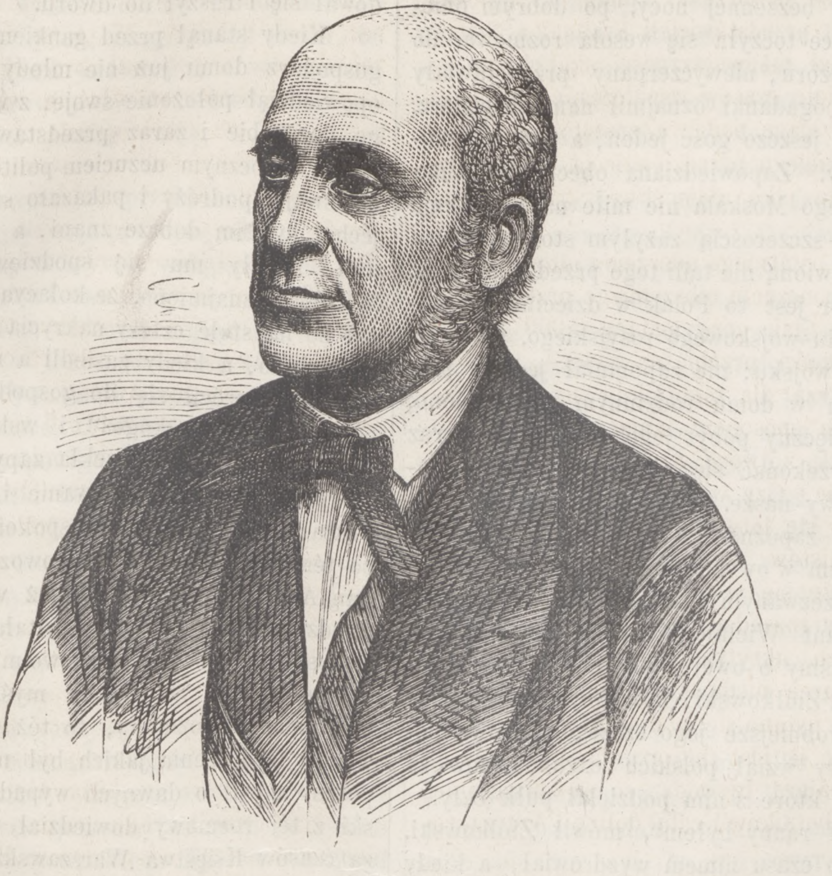
Maszyna ta, przy próbach między Chambéry i Genuą wyszła zwycięzko; jakby czarem jakim przebijała najtwardsze skały Alp. Tak więc kwestya przebijania mechanicznego była rozwiązaną. Ale jak pod górą, w dziurze głębokiéj kilka kilometrów, zużytkować maszynę, któréj para w krótkim czasie zepsuje powietrze do oddychania? Przy-

szła tu w pomoc idea zastąpienia pary, przez użycie powietrza ściśnionego jako siły.

Niepodobna napewno twierdzić, kto pierwszy wskazał sposób użycia powietrza do przebijania tunelów. Dziś tylko wiemy, że w r. 1827. profesor Colladon z Genewy proponował Brunelowi użycie powietrza przy robotach sławnego tunelu pod Tamizą. Prócz tego w r. 1852. 30. Grudnia żądał on brewetu na nowy sposób łamania skał za pomocą powietrza ściśnionego.

W roku 1867. markiz Caligny, obecnie członek Instytutu, czytał w tym przedmiocie rozprawę uwieńczoną nagrodą.

Ani Caligny, który miał pierwszeństwo, ani Colladon, który od dawna studyował tę kwestyą, niebyli tyle szczęśliwymi, ażeby poszukiwania ich zastósowane były do prac koło Mont-Cenis. Honor zastósowania powietrza ściśnionego do rozbijania gór, spadł na trzech inżynierów sardyńskich: Lounneiller, Grandis i Grattoni. Wynaleźli oni ogromną machinę zamykającą powietrze i przesyłającą go aż na miejsce pracy. Machinę tę zamieniono późniéj na inną praktyczniejszą, któréj pomysł należy się Calladon'owi. Ale równocześnie i inżynier Sommeiller następca Barklett'a przedstawił nową, jeszcze doskonalszą, która w miejscu pary poruszała się siłą powietrza ściśnionego, tak że od téj chwili powietrze ściśnione mogło wystarczyć nietylko do wentylacyi ale i do poruszania narzędzi przebijających skały. Środki więc do przebijania wynalezione zostały.



Agenor hr. Gołuchowski.
Namiestnik Galicyi.

17 Czerwca 1856 r. minister Paleocapa, inżynier wenecki wniósł pierwszy na trybunę propozycyę pp. Sommeiller, Grandis i Grattoni, ażeby bez straty czasu rząd sardyński zajął się zastósowaniem ich machiny do przebicia góry. Paleocapa a przedewszystkiem Manabrea, pułkownik inżynieryi i profesor mechaniki w szkole wojskowéj w Turynie, gorąco bronili nowego systematu. Sommeiller, także deputowany zdecydował zwycięstwo. Sprowadzono zaraz machinę z Belgii, rozpoczęto próby i rezultaty okazały się pomyślne. Wkrótce potém izba zawotowała prawo upoważniające inżynierów do rozpoczęcia przebijania Alp. W ostatnim miesiącu 1857 r. na spadku Alp ku Sardynii wzięto się do dzieła. Rok 1857 i 1870 są dwoma ostatecznemi terminami tego pamiętnego przedsięwzięcia.

W chwili cesyi dokonanéj ze strony Włoch dla Francyi, Cavour chcąc uchronić przedsięwzięcie od zazdrosnych wpływów, zastrzegł w artykule IV. traktatu, że Włochy same, własnemi kapitałami, pod swoją dyrekcyą i swemi inżynierami, ukończą pracę przez nich rozpoczętą. Francya przez konwencyę międzynarodową z 7 Maja 1862 przyłączyło się do tych zastrzeżeń.

Francya bierze na swój rachunek 19 milionów, ale płatnych w takim tylko razie jeżeliby praca ukończoną była 1. Stycznia 1882. roku. Przyrzeczono nagrodę 500,000 fr. za każdy rok przyspieszony w ciągu lat 25, a ta suma powiększoną będzie do 100,000 za każdy rok wygrany w latach piętnastu. W tych dziwnych zastrzeżeniach przebija się wątpliwość rządu francuskiego, co do pomyślnego ukończenia przedsięwzięcia. Był on bardzo niedowierzający, gdyż już w r. 1862 inżynier najostrożniejszy, nie mógł niebyć przekonanym o szczęśliwem ukończeniu pracy.

Jesteśmy w r. 1871. a wielkie dzieło przeszło na dziesięć lat przed wyznaczonym terminem ukończone zostało. Niedowiarstwo to Francyi, prócz 19 milionów, kosztuje 8 milionów, czyli razem około 28 milionów fr. Czy Francya potrafi skorzystać i produkta swoje tą drogą wywozić, przyszłość okaże. Są pessymiści, którzy korzyść z olbrzymiego tunelu widzą tylko dla Włoch. Przebicie Alp otwiera upust dla handlu francuzkiego, bezpośrednio łączy południe z północą Europy, zachód ze wschodem. Nie tyle położenie ile ruchliwość handlowa i przemysłowa Francyi większa niż Włoch, prawdopodobnie potrafi korzyści dla niéj zwrócić.

W następném damy obraz samego tunelu.

USTĘP Z BOJÓW POLSKICH

przez

K. S. Bodzantowicza.

Epizod z bitwy pod Dębem.

(Dokończenie.)

O milę od Chełma leży wieś Czerniejów, była ona w owym czasie własnością człowieka, który jak wszystka młodzież ówczesna robił kampanią 831 roku. Miły, wesoły, umysłowo-wykształcony, wielce był przez wszystkich ceniony, to też dom jego bardzo był uczęszczany. Zimową porą po wieczorze który dawano w okolicy, przybyliśmy tam w kilku i wypocząwszy nieco po bezsennéj nocy, po dobrym obiedzie przy kawie i fajeczce toczyła się wesoła rozmowa, do któréj wydarzenia wieczoru, niewyczerpany przedstawiały przedmiot. Wśród téj pogadanki oznajmił nam gospodarz, że niebawem przybędzie jeszcze gość jeden, a tym jest major u niego konsystujący. Zapowiedziana obecność nieznanego człowieka, a do tego Moskala nie miłe na wszystkich zrobiła wrażenie, i ze szczerością zażyłym stosunkiem, a gospodarzem usprawiedliwioną nie taili tego przed nim. Ależ on odrzekł, że ów major jest to Polak w dzieciństwie oddany do jakiegoś zakładu wojskowego rosyjskiego, potrzebą znaglony jest służyć w wojsku; nie zapomniał jednak prawych zasad jakie w nim w domu rodzinnym zaszczepiono, o czem przez kilkomiesięczny pobyt jego tutaj miał nieraz sposobność dowodnie przekonać się; i to zapewnienie gospodarza uspokoiło obawy nasze. Wieczorem przybył zapowiedziany, a gospodarz zapoznał go z nami; nazywał się Ziółkowski i był majorem w owym ułańsko-litewskim pułku niedawno nasauskim przezwanym, którym dowodził pułkownik Weiss były adjutant Wielkiego Księcia Konstantego. Przy kolacyi rozmawialiśmy o owéj pamiętnéj szarży karabinierów pod Dębem, a Ziółkowski, który był w tym spotkaniu, opowiadał najdrobniejsze jego szczegóły i ową pomyłkę Schindlera, który wziął polskich exżandarmów za kirysierów, przekonanie które z nim podzielał pułk cały.

„W tém spotkaniu ranny byłem“, mówił Ziółkowski, i długiego trzeba było czasu nimem wyzdrowiał, a kiedy nieraz nękany cierpieniem, narzekałem na położenie moje, czyż mogłem się spodziewać że w rok potém ta rana właśnie będzie dla mnie powodem wielkiéj moralnéj pociechy?“

To zakończenie wzbudziło naszą ciekawość, prosiliśmy go więc o szczegóły tego wydarzenia, na co on chętnie przystał i po kolacyi przy herbacie zaczął opowiadanie swoje, którego z wielkiem zajęciem słuchaliśmy.

Wyleczywszy się z rany umyślił on odwiedzić rodzinę w Krakowskiem zamieszkalą, któréj nie znał, kiedy uporczywa febra zmusiła go w jesieni dopiero przedsięwziąć tę podróż. Zły stan dróg w téj opóźnionéj porze, a przytém osłabienie, wynik długiéj niemocy, były powodem że wolno podróżował wybierając noclegi i popasy w miejscach gdzie mógł wygodę znaleźć. Był już gdzieś za Radomiem, kiedy słota zmusiła go (choć było dość wcześnie jeszcze) szukać na noc przytułku, zajechał też do karczmy w pierwszéj wsi jaka na drodze była, ależ tam ani stancyi gościnnéj, ani nic do zjedzenia nie znalazł. Chętny, ale nie zamożny karczmarz nie mogąc zaspokoić koniecznych potrzeb podróżnego, dał mu radę żeby zajechał do dworu, zapewniając że tutejszy dziedzic jest człowiek bardzo gościnny i przyjmie go uprzejmie. Twierdzenie karczmarza było tak przekonywające, a brak wygody tak dokuczliwy, że po namyśle zdecydował się i ruszył do dworu.

Kiedy stanął przed gankiem wyszedł na jego spotkanie gospodarz domu już nie młody człowiek, który kiedy mu opowiedział położenie swoje, z wielką uprzejmością zaprosił go do siebie i zaraz przedstawił go żonie, a ta go przyjęła z widocznym uczuciem politowania. Oznajmił on obojgu cel swojéj podróży i pakazało się że owi krewni do których jechał byli im dobrze znani, a informacye jakie mu o nich dali, kazały mu się spodziewać serdecznego przyjęcia. Wkrótce oznajmiono, że kolacya gotowa, a Ziółkowski uważał że na stole cztery nakrycia ustawiono chociaż ich troje tylko było, a kiedy zasiedli a nikt nie zajmował próżnego miejsca, zwrócił się do gospodyni i rzekł: „Państwo zapewne oczekują kogoś“ i wskazał na niezajęte miejsce. „Tak jest Panie“, odrzekła zapytana, „oczekuję syna mego który pojechał na polowanie i turbuję się, że dotąd nie wraca;“ mąż starał się uspokoić obawy żony, a nie długo po tém usłyszano turkot powozu, służący zaś oznajmił, że Pan Adolf przyjechał. Jakoż wkrótce ukazał się dorodny młodzieniec, z czułością witała go matka, a ojciec zapoznawszy go z gościem swoim, wypytywał o powodzenie na polowaniu. Przygody myśliwskie, to nie wyczerpany przedmiot do rozmowy, to téż wesoły gospodarz domu opowiadał wydarzenia jakich był nieraz świadkiem na łowach, potém mówił o dawnych wypadkach wojennych, a Ziołkowski z téj rozmowy dowiedział się, że opowiadający służył za czasów Księstwa Warszawskiego w pułku huzarów Tulińskiego, słynnym z odwagi a zarazem z wesołego usposobienia i dziwnych konceptów korpusu oficerów.

Przez ciąg téj rozmowy uważał Ziółkowski, że p. Adolf pilnie mu się przypatrywał, a kiedy przerwa nastąpiła, zapytał się: „Chciéj mi pan powiedzieć, jak się zowie pułk w którym pan służysz.“ „Nassauski!“ odrzekł Ziółkowski. „Nassauski“ powtórzył młodzieniec, „nieznam wcale.“ „Bośmy niedawno tę nazwę dostali.“ „A dawniéj“ pytał pan Adolf „jak się zwał.“ „Ułańsko-litewski“ odrzekł zapytany. „O! ten to znam dobrze“, zawołał. „Zapewne na Podolu“, mówił Ziółkowski, „gdzieśmy długo konstystowali?“ „Na Podolu nigdy nie byłem“ odrzekł z uśmiechem młodzieniec, „ale nie daleko Mińska poznaliśmy się, bo ja służyłem w drugim szaserów.“ „Krwawe to było poznanie“ mówił Ziółkowski, „i obfite w dziwne wypadki“ i dopieroż oba aktorowie tego dramatu opowiadali to zobopulne złudzenie, jak jedni wzięli karabinierów za kirysyerów, a drudzy ułanów moskiewskich

za polskich mazurów. Opis ten z prostotą żołnierską skreślony, nadzwyczajnie zajmował starego huzara Tulińskiego, a i uczucie rodzicielskie mile połechtane było słysząc jaki udział syn jego miał w tém spotkaniu, wypytywał téż obu o najdrobniéjsze szczegóły, a potém zwracając się do syna zapytał: „A ty Adolfie, dużoś ich tam z konia zsadził? powiedz prawdę, bo przecież nie natom cię od dzieciństwa szablą robić uczył, żebyś w spotkaniu był jak malowany.“ „Wiadomo ojcu“ odrzekł ze skromnością młodzieniec, „że w starciu kawaleryi nikt bezczynnym być nie może, bo albo naciera, albo bronić się jest zmuszony, a że nasi byli górą, częściéj się téż nacierało. Ze wszystkich bitew w jakich byłem, ta mi najlepsze zostawiła wspomnienie, bom w niéj miał sposobność uratować życie zacnemu młodzieńcowi.“ „I hojnie za to“ ozwał się ojciec, „nagrodzony został, bo ta usługa zjednała ci przyjaźń ocalonego, a wdzięczność rodziny. Opowiedz to majorowi“, dodał, a kiedy Ziółkowski do żądania ojca dołączył prośbę swoją, to pan Adolf zaczął:

„Wsamym początku powstaniu, przybył do nas sąsiad o trzy mile z tąd mieszkający wraz z synem młodziuchnym chłopcem, który taką ochotę okazywał wstąpienia do wojska, że ojciec widział niepodobieństwo utrzymania go w domu. Dowiedziawszy się, że ja mam także zaciągnąć się do wojska, przybył tutaj, żeby mnie jako starszemu wiekiem polecić swojego Adasia, a kiedym na to chętnie przystał, wymógł na nas obu przyrzeczenie, że w żadnym wypadku nie rozłączymy się. Po czułym pożegnaniu wyjechaliśmy tedy do Warszawy, a tam stósunki koleżeństwa i przyjaźń ojca mego z generałem Skarzyńskim, dowódzcą drugiego pułku szaserów spowodowały mnie do udania się do niego i w parę dni potém oba z Adasiem byliśmy już w mundurach. Ja od dzieciństwa w prawiony przez ojca do szabli i konia, wkrótce zostałem oficerem, a Adaś był kadetem w moim plutonie i całą kampanią odbywaliśmy razem, a chociaż późniéj chciano Adasia awansować do jazdy sandomirskiéj, nie przyjął on tego, niechcąc się zemną rozłączać i dopiero przy końcu wojny w naszym pułku, oficerem został. Wiadome państwu są szczegóły korzyści jakieśmy odnosili w pochodzie naszym ku Sielcom, kiedy niedaleko Mińska zatrzymał się nieprzyjaciel i nastąpiła owa szarża karabinierów, wzięcie dział, a potym uderzenie ułanów na nieprzygotowany pułk Schneidego; na gwar natarciem spowodowany ruszyliśmy galopem i z boku wpadliśmy na ułanów, a kiedy wkróce sformowani karabinierzy uderzyli z drugiéj strony, wszczęła się gęsta rąbanina. Pierwszy raz ja i Adaś byliśmy w szarży, trzymając się razem, kiedy parci przez karabinierów, ułani rozdzielili nas. Niespokojny oglądałem się za nim i ujrzałem go o jakie kilkadziesiąt kroków jak ścierał się z ułanem, odbił on mu lancę i ranił widno, bo wypadła mu broń z ręki, ależ nadbiegał z tyłu oficer z podniesionym do góry pałaszem i byłby go nieochybnie zabił, a przynajmniéj ciężko ranił, kiedy ja widząc to niebezpieczeństwo Adasia, poskoczyłem mu na pomoc, dopadłem owego oficera i w chwili kiedy ten miał zadać raz młodzieńcowi, ciąłem go w głowę i zaraz spadła mu czapka, a on zabity z sunął się z konia.“

Przez ciąg opowiadania pana Adolfa, ze szczególnym zajęciem słuchał go Ziółkowski, a kiedy je zakończył śmiercią owego oficera, uchwycił go za rękę.

„Nie zabiłeś go“, zawołał, „bo to ja nim jestem“ i pochyliwszy głowę na stół, usunął kołnierz munduru i chustkę i ukazał ogromną bliznę przez kark i głowę. Na to niespodziewane rozwiązanie zerwał się z siedzenia młodzieniec i patrzał podziwieniem zdjęty na majora, który z uśmiechem spoglądał na niego; po chwili wyciągnął on ramiona i uścisk serdeczny był najwymowniejszym wyrazem uczucia jakie ich owładnęło. Ta scena rozrzewniła matkę pana Adolfa, oko nawet starego huzara łzą zwilżone było. „Tylko w żołnierskim zawodzie“, mówił wzruszony, „takie spotkanie zrobić, takiéj paciechy doznać można“ i przystąpiwszy do obu młodzieńców, serdecznie uściskał Ziółkowskiego, a potém biorąc syna za rękę, zawołał: „Adolfie, kiedyżeś go omal niepozbawił życia, to szczerą przyjaźnią powinieneś mu to wynadgrodzić.“ „Do śmierci“, odrzekł młodzieniec i uścisnął rękę przyjaciela. „Żono!“ zawołał ojciec, „wina starego, żeby oblać ten sojusz szczęśliwy“, a ta spiesznie wybiegła spełnić to zlecenie. Pili tedy, a im gęściéj wypróżniały się kielichy, tém czulsza była rozmowa i serdeczniejsze wynurzania, a kiedy już dobrze podchmielili sobie, to pan Adolf ujął za rękę majora i zawołał: „Chodź coś ci pokażę“, i prowadził go do mieszkania swego, gdy tam stanęli, przystąpili do łóżka. wsunął rękę pod materac i wyciągnąwszy ukrytą tam szablę, zawołał: „Słuchaj przyjacielu, nam broni mieć nie wolno, ależ ja rozstać się nie mogłem z wierną moją towarzyszką... tą szablą raniłem cię, weź że ją odemnie na pamiątkę.“

Serdecznie dziękował obdarzony za dar mu zrobiony, uścisnęli się oba przyjaciele i potém wrócili do reszty towarzystwa. Na całą noc posłano po Adasia, który przybył wraz z ojcem; nadjechało kilku bliższych sąsiadów, a tak w miłym towarzystwie zeszło Ziółkowskiemu parę dni w domu rodziców pana Adolfa, wyjechał nareszcie w zamierzoną podróż, ale nie sam, bo mu towarzyszył przyjaciel. W prowadzony w dom krewnych przez człowieka z którego rodzicami łączył ich dawny stósunek zażyłości, mile był przyjęty, tam się dowiedział, że ma prawo do spadku jakiekoś, który w depozycie był złożony, pojechał też z przyjacielem do Kielc, powierzył sprawę swoją adwokatowi, którego mu wskazał p. Adolf, a ten przejrzawszy cały interes zapewnił o pomyślnym skutku jego dochodzenia, wrócił tedy z téj podróży z nabytkiem przyjaciela i niezależności. Odtąd przez parę lat w święta jeździł do pana Adolfa, a ten znowu odwiedzał go w porze letniéj. Późniéj dowiedziałem się, że wziął dymisyą, ożenił się i osiadł na wsi w sąsiedztwie przyjaciela.

. . . .

TRZY MOGIŁY

przez

Władysława Bełzę.

Śpiewakowi Mohorta

poświęca autor.

I.

Pod Krakowem trzy mogiły,
Niby trzy strażnice,
Dwóch wojaków przytuliły,
A trzecią dziewicę.

Pod Krakowem trzy kurhany,
Niby trzy przedmurza,
Patrzą na kraj ukochany,
Czy nie grozi burza?

Pod mogiłą Krakusową,
Płyną Wisły fale.
Nad nią dąb, omszałą głową,
Potrząsa wspaniale.

Ej! ty naszych siół patronie!
O czém dumasz dębie?
Czemu patrzysz w Wisły tonie,
Przezierasz jéj głębie?...

Ni tam Boża dłoń rzuciła,
Korali na fale:
Chyba naszą krew zmieniła,
W czerwone korale!

Ni tam pereł blask nie świeci,
Coby tak nęciły...
Łzy to chyba polskich dzieci,
W perły się zmieniły!

O! już wiem ja dębie stary,
O czém dumać tobie...
Rozpostarłeś twe konary,
Na rycerza grobie.

Z mężnéj piersi bohatera
Czerpiesz twoje soki;
Toż i skroń się twa wydziera
Śmiało — pod obłoki!...

I spoglądasz w koło dumnie,
Na ten świat zamarły:
Bohatery leżą w trumnie,
A szaleją karły!

Zdasz się jeno czekać chwili,
Która niedaleko:
Rychło z mogił się odchyli,
Zapleśniałe wieko?...

Rychło w rogi już zagrają,
Rycerze zaklęci...
I twym liściem skroń umają,
Ku wiecznéj pamięci?

Wskrzesić zmarłych siwy dębie,
Próżna to pokusa:
Spojrz! jak smutnie patrzy w głębie,
Mogiła Krakusa!...

(C. d. n.)

PAŁAC ŁAZIENKOWSKI W WARSZAWIE.

(Dokończenie.)

W roku 1786 wystawił król tutaj w Łazienkach osobny teatr czyli pomarańczarnią. Plersch przyozdobił salę teatralną dekoracyami.

W roku 1788, postawiwszy pomnik Janowi III tratującemu Turków, za kanałem naprzeciw pałacu, król wyprawił na cześć jego świetny karuzel, o którym wiele w swoim czasie było gadania, a niedawno w naszych czasach pisaniny. Po rycersku, średniowiecznym obyczajem, gonili tutaj na ostre młodzi kawalerowie, a damy, jako boginie piękności, rozdzielały pomiędzy walecznych rycerskie nagrody. Ostatni świetny teatr jaki grano w Łazienkach był w dzień ostatniéj rocznicy elekcyi króla, którą także po raz ostatni obchodzono w Warszawie (7 Września 1783 r.) Grano wtedy balet Kleopatrę.

Upadał pałac łazienkowski razem z tym, który całe jego stanowił zycie, t. j. razem z królem Stanisławem. Kiedy Poniatowski, złożywszy koronę, mieszkał w Grodnie, w Łazienkach zastępował go zupełnie Onufry Kicki. Pomiędzy nim a królem było wiele, bardzo wiele serdeczności, a nawet pokrewieństwo przypadkowe z sobą ich łączyło; koniuszy miał bowiem za żonę wojewodziankę płocką Szydłowską, rodzoną siostrę tajnéj żony Stanisława Augusta, pani generałowéj Grabowskiéj. Ale więcéj niż te związki rodzinne, spółczucie jakieś, wzajemny pociąg ku sobie, pana i sługę połączyły. Kicki był marszałkiem dworu królewskiego, t. j. najbliższym z urzędu powiernikiem, stróżem osoby pańskiéj, a więcéj jak to wszystko, był prawdziwym przyjacielem Stanisława Augusta, bo gotowym dla niego nawet na poświęcenie się, czego dawał częste dowody w owych czasach, kiedy gospodarzył sam w Łazienkach. Król zaplątał się w okropne przesilenie finansowe i ani sposób było wybrnąć z niego. Kicki dniem i nocą pracował, przemyślał, żeby panu ciężkich trosk ulżyć. Złośliwi ludzie korzystali z tego nieprzyjemnego stanu rzeczy i plotkami swojemi zachwiewali kredyt. Nie myślał n. p. król o sprzedaży Łazienek, swojéj własności prywatnéj, a tymczasem latały pogłoski po mieście, że Łazienki będą wystawione na sprzedaż. Niemiłe to były rzeczy królowi, bo pokazywały mu na oczy upadłą jego wielkość, bo to już ostatkiem niezawodnie się goniło, kiedy z musu marnować na teraz przychodziło tyle zakładów i sprzedawać pałac zbudowany z takiemi trudami, jedyną pamiątkę królowania w Warszawie.

Tém przykrzejsze były królowi takie pogróżki, że w nich z początku nic a nic prawdy nie było. Jednak powtórzyły wieści o sprzedaży Łazienek i gazety zagraniczne. Kicki, dla uspokojenia pana, postarał się że zaraz te wieści w gazecie francuskiéj i berlińskiéj odwołano, tak iż król po chwilowem zmartwieniu doznał prawdziwéj radości, kiedy dostał gazetę berlińską. Podobnież złośliwe wieści roznoszono i o zamku królewskim. Ale Stanisław August owszem z Grodna jeszcze upiększał swoje Łazienki. W jednym z listów jego do Watsona kontrolera kasy swojéj, mieszkającego wtedy w Warszawie, (listów tych łaskawie nam do przejrzenia pozwolił, pułkownik Hauke, krewny Watsona) czytamy następne rozporządzenie, którego tutaj treść przy-

wodzim. „Gdybyś mógł“, pisze król do Watsona, „uskrobać z jakie 100 złotych z wydatków, byłbym ci bardzo wdzięczny, oddałbyś je Baciarellemu na prędką reperacyą wód łazienkowskich, która im późniéj nastąpi, tém więcéj kosztów za sobą pociągnie; a jeżeli nie możesz uskrobać co“, pisze król daléj, „to przynajmniéj awansuj co będziesz mógł.“ Zdaje się, że król myślał wtedy nawet o powrocie do Łazienek. Stanisław August cieszył się w Grodnie każdą wieścią o Łazienkach. Był wtenczas ogrodnikiem w parku niejaki Tytz. Córka jego poświęcała się wyłącznie jedwabnictwu i słynęła z tego w Warszawie. Późno już wzięła się do tego, tak że król osobiście za postępem jéj sprawy śledzić nie mógł; lecz jakież było jego zdumienie, gdy nagle w podarunku dostał od ogrodniczki próbkę delikatną własnego jedwabiu, którego się ze swoich robaczków doczekała. Król uradowany posłał jéj za to w podarunku prezencik piękny (w Sierpniu 1795). I ten szczegół mamy z listów Watsona. Z parkiem łazienkowskim otwiera się historya jadwabnictwa polskiego.

Pod naczelnym kierunkiem Kickiego, rządził w pałacu królewskim, jak widzieliśmy, Baciarelli, który stale mieszkał w Warszawie i majątku pańskiego pilnował, bo Kickiemu jeździć często przychodziło. Król, który honorowie płacił długi i miał skrupuł sumienia korzystać z prywatnego dobra, na ręce Baciarellego nadesłał 50 dukatów wynagrodzenia księżom karmelitom bosym, za wodę z szop, „bo bez tego z Łazienek byłoby bagno“, pisał król do swego nadwornego malarza (we Wrześniu 1795). Posyłka ta 50 dukatów miała związek z ową reperacyą wód łazienkowskich, na które Watson miał awansować pieniądze.

Król umarł, a Kicki wciąż jeszcze gospodarzył w Łazienkach. Przyjmował tutaj w pałacu Stanisława Augusta królestwa pruskich, którzy odebrawszy hołd od stanów księstwa, pierwszy raz do Warszawy zjechali w roku 1798. Był wtedy świetny bal w Łazienkach na przyjęcie króla i królowéj; bo Kicki ustąpił na ten cel pałacu, za wiedzą księcia Józefa, nowego dziedzica Łazienek, który był zresztą jeneralnym spadkobiercą Stanisława Augusta. Straciły wiele Łazienki na téj przemianie pana, bo książę niebardzo się zachwycał swoim zamiejskim pałacykiem i kiedy mieszkał w Warszawie, ciągle siedział w pałacu p o d b l a c h ą. Tam ściągał wybór towarzystwa za czasów pruskich; a potém, zajęty to organizacyą wojska, to sprawami rządu, to wreszcie wyprawami rycerskiemi, ani miał czas myśleć o swoich Łazienkach. Pożyczał jednakże ze wszelką gościnnością pałaca każdemu kto go o to prosił. Wyższe towarzystwo, które ton nadawało dawnéj stolicy polskiéj za czasów pruskich, a które dosyć liczne było, nie miało się gdzie bawić po za granicami miasta. Kilka tylko domów w okolicy posiadało pałace, które stały otworem dla towarzystwa, ale nie każdy był tyle szczęśliwy, żeby miał pod samemi murami Warszawy taki n. p. Willanów. Ztąd zamiejskie wycieczki na śniadania, obiady, podwieczorki, zabawy opierały się wtedy zwykle o Łazienki. Kochał się kto, a chciał ulubionéj swojéj małą wyprawić niespodziankę, zapraszał cały ton wyższy do Łazienek. Imieniny kto chciał obchodzić jakiéj osoby poważnéj, zasługującéj na powszechny szacunek, gości swoich zapraszał także do Łazienek. Kobiety stroiły się naturalnie w co miały najdroższego, a mężczyzni ubiegali się wtedy na wyścigi o względy kobiet i jeden drugiego chciał zaćmić. Jechało się na te wycieczki do Łazienek rozmaicie, stósownie do zaproszenia i stósownie do tego czém kto raczył w pałacu, śniadaniem lub obiadem. Ale biesiada zwykle trwała długo. Na śniadanie n. p. goście zjeżdżali się o drugiéj w południe, a rozjeżdżali się o dziesiątéj wieczorem. Obfitość była wszystkiego i uczta zaimprowizowana wydawała się nieźle. Kobietom zwykle grzeczny gospodarz rozdawał bukiety, które poprzednio zamawiał u ogrodników. Sławne były biesiady już pod koniec czasów pruskich wyprawiane w Łazienkach dla panien Kickich (1806.)

Stary marszałek królewski Onufry żył jeszcze, i raz wraz o Kickich słychać było w Łazienkach. Dwie były podówczas siostry w Warszawie tego nazwiska: w jednéj z nich kochał się Uryski, młody elegant i bogacz, który umiał około siebie, kiedy tego była potrzeba, roztaczać przepych; w drugiéj zaś kochał się młody książę Jabłonowski. Zawsze po takich ucztach i wycieczkach dużo było gadek i opowiadań w Warszawie, dużo było i przed zabawą, kiedy mówiono o niéj jeszcze jako o projekcie. Potém jedna z tych Kickich poszła za księcia Sułkowskiego, sławnego generała wojsk warszawskich. Jak panną będąc odbierała hołdy od swoich czcicieli, tak teraz, wielką zostawszy panią, nieraz gospodarzyła w zebraniach łazienkowskich. Już wtenczas książę Józef nieżył.

Czasami poezya uświęcała tutejsze pikniki: Molski układał wiersze dla pani Zofii Zamojskiéj, któréj dawał w Łazienkach piękny, jak mówiono, festyn Bieńkowski sędzia apelacyjny, potém kasztelan. Molskiego wiersze wystarczały potrzebie ówczesnego poezyą zajmującego się świata. Czasy się zmieniały. Solenizantkę otaczało grono przyjacielskie, w którém i obce jéj zupełnie znajdowały się osoby (1814).

Książę Józef testamentem przekazał Łazienki dla rodzonéj siostry swojéj, Teresy Tyszkiewiczowéj, któréj mąż Wincenty był za czasów polskich referendarzem litewskim. Testament ten spisany był dnia 28. Marca 1812, przed wojną rosyjską. Kiedy się uspokoiło na świecie, a burze ucichły, pani Teresa nie chciała trzymać na barkach swoich świetnego ciężaru, który jéj nic nie przynosił. Dla tego sprzedała piękne Łazienki z gruntami, pałacem, ze wszystkiemi sprzętami i ruchomościami, obrazami, rzeźbami, z przyległemi budowlami i ogrodem nowemu zaborcy cesarzowi Wszech Rosyi Aleksandrowi I., za sumę: milion ośmdziesiąt tysięcy złotych polskich. Kontrakt spisany był na dniu 15. Października 1817 r. Stary Onufry Kicki, który za czasów księstwa był kasztelanem, a świeżo wtedy został wojewodą królestwa polskiego, przeżył niewiele czasu tę sprzedaż; umarł albowiem w czasie pierwszego sejmu, dnia 10. Kwietnia 1818 roku w Warszawie.

Poniatowscy więc posiadali Łazienki przez pół wieku (lat 53, 1764—1817). Z tych lat pięćdziesięciu najdłużéj tytuł własności miał król Stanisław (lat 34), krócéj książę Józef (lat 15), najkrócéj zaś siostra księcia Józefa, pani Tyszkiewiczowa (lat 4).

J. B.

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Pomimo krwi która bruk oczerwieniła, lud zachował spokojność i swoje stanowisko, nie wielu bowiem cofnęło się z niebezpiecznego miejsca. Jedni uprowadzali rannych, inni podnosili trupów, a wojsko, którego nowe szeregi nadchodziły od zamku, szło z bagnetami zwieszonemi do ataku gotowe do nowych zabójstw, wołając na stojących, ażeby się rozeszli. Długie dwie jego linie wyciągnęły się przy chodnikach wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, prawie aż do hotelu Europejskiego; za niemi stał lud na chodnikach nieruchomy; środkiem zaś ulicy pomiędzy szeregami nieprzyjaciela wieziono jednego trupa w doróżce, a czterech innych, z których krew jeszcze płynęła, nieśli mieszkańcy okolicy. Krwawy ten pochód przedstawiał niezwykły widok. Cisza świąteczna zapanowała na ulicy, lud nie zlękniony, smutny, miał powagę idących na śmierć; ocierając się o żołnierzy nie groził im pięścią, nie lżył słowem; wojsko przerażone, w milczeniu patrzało na obywateli, co dźwigali trupów, jakby sztandary zwycięztwa. I byli Polacy zwycięzcami, a zwyciężyli sercem które biło dla Ojczyzny czystą miłością, żadnem innèm uczuciem, nawet zemsty nie zaćmionèm; zwyciężyli wstrętem, jaki okazali dla zbrodni, w pogodzie niezmąconéj żadną obawą i zwyciężyli wiarą w tryumf sprawiedliwości, nie pobudzanéj żadną niecierpliwością! I byli Polacy zwycięzcami, gdyż Moskale popchnięci rozkazem zimnéj polityki do zbrodni, uczuli, że sprawa ich panowania w Polsce nie jest słuszną, że sprawiedliwych pobili. Te dwa na przeciw siebie w wiekowéj walce zostające narody, stoczały w obec pięciu trupów nową, nieznaną w dziejach bitwę, o jakiéj marzyli święci i poeci; bitwę chrześcijańską, w któréj siły moralne wzięły przewagę nad materyalną; bitwę idei, w któréj po raz pierwszy przeciwnik uzbrojony a mocny, schował broń i zaprzestał zabijać bezbronnych a słabych; bitwę zaszczytną dla stron obu, dla ludu polskiego, który się wzniósł na najwyższy szczyt moralnych poczuć i dla tych moskali, co na Krakowskiem Przedmieściu okazali instynkta ludzkości w zaprzestaniu boju z ujarzmionymi i w cofnięciu się, jakby byli pokonani przed samą sprawiedliwością. Była to chwila krótka jak błyskawica, ale chwila dziejowa, bo zrodziła idee walki moralnéj; chwila nadzwyczajna, bo widziano w niéj oficerów zdejmujących czapki przed ofiarami, żołnierza zrzucającego mundur i wołającego, że niechce być Moskalem, widziano pułk ułanów na Saskim placu, którego oficerowie z współczuciem do ludu się odzywali*); chwila w któréj po ludzku starli się z sobą przeciwnicy, chociaż niestety na to tylko, ażeby późniéj powrócić do zwykłéj, okrutnéj a pastwiącéj się wojny.

Trupów zawieziono do hotelu europejskiego, a jednego do konsulatu francuzkiego. Jeneralny konsul francuski pan Ségur Dupeyron, głuchy jak i rząd jego na boleść polską, nie przyjął trupa do swego mieszkania, dając przez to zrozumieć, że i nad Sekwaną nieodezwą się na głos krwi narodu, który w każdym boju sekundował Francyi. Lud więc złożył trupa w mieszkaniu pana Andrzeja, jak w Warszawie nazywano Zamojskiego i w wielkiem poruszeniu zażądał, ażeby prezes Towarzystwa Rolniczego zajął się jego sprawą i upomniał się o sprawiedliwość. Zamojski i Węgliński przemówili w gorących słowach, a podzielając boleść i oburzenie zgromadzonych zapewnili, że wszystko ze swéj strony uczynią, ażeby pozyskać zadosyć uczynienie i bezpieczeństwo dla ludu.

Jednocześnie kiedy lud warszawski mierzył się wzrokiem z nieprzyjacielem stojąc w gromadzie aż do wieczora na ulicach; kiedy oglądał trupów zachowując wzorowy porządek i umiarkowanie; — w stolicy sąsiedniego państwa w Berlinie, Polacy prowadzili inną walkę, występując na posiedzeniu izby niższéj przeciwko uchwaleniu tajnych funduszów. Władysław Niegolewski, pamiętając spiski przez policyą pruską pomiędzy Polakami zaprowadzane i zarazem aresztowanie w Warszawie ajentów pruskich, których rząd berliński wysyłał nad Wisłę dla wywołania różnych zamieszek w celu prędszego sprowadzenia na ruch narodowy moskiewskiéj represyi, rzekł: „Nie dość, że ojczyzna nasza jest podzielona, ale jeszcze idzie o to, żeby wspólnym systemem każdą prowincyą z osobna w przepaść wtrącić. Muszę dla tego z téj mównicy ostrzedz moich rodaków, aby nie wpadli w zastawione na siebie sidła, aby się nauczyli panować nad sobą, nie dali się w wypełnieniu świętych powinności względem ojczyzny sprowadzić z drogi i nie wystawiali się na niebezpieczeństwo zbroczenie ojczyzny krwią, wchodząc w prowokacyjne tajemne związki, aby zarazem czuwali nad tém, żeby ojczyzna nasza przez prowokacye nie popadła w zupełną zagładę.“ Słowa te izba pruska przyjęła śmiechem, który ją na wieki nacechował ohydnem piętnem samolubstwa. Śmiech ten przejął gniewem, który słusznie nazwano „świętym“, jednego z najzacniejszych w téj izbie posłów. „Macie odwagę“ krzyknął August Cieszkowski, jakby w widzeniu tego co się nad Wisłą dzieje, „macie odwagę śmiać się, kiedy właśnie krew braci naszych może się leje w Warszawie... Śmiać się nie powinniście, za nadto wielka odpowiedzialność, za nadto wielka świętość leży w téj rzeczy. Wzruszenie nie dozwala mi więcéj mówić, ale jeżeli

*) Pułk ten za to współczucie wysłany został z Warszawy.

ostrzegamy kraj swój przed takiemi wydarzeniami, upominamy zarazem i rządy, ażeby na spadzistéj drodze niesprawiedliwości daléj nie postępowały.“ Nieznamy w rocznikach parlamentarnych Europy, wypadku więcéj dramatycznego. W nim scharakteryzowała się walka Niemców z Polakami. Scena w parlamencie porównana z wypadkami Warszawy, cechującemi walkę Moskali z Polakami, przedstawia bardzo zajmujący przedmiot dla umysłu badającego dusze narodów.

(C. d. n.)

Agenor hr. Gołuchowski

Namiestnik Galicyi.

(Z ryciną.)

Rzadko można spotkać męża stanu, którego życiorys przedstawiałby równie ciekawy przebieg jak dzisiejszego namiestnika Galicyi, Wyszedłszy jak się przekonamy z jednego bieguna, przechodzi on nieznacznie, party wypadkami, na biegun wprost przeciwny. Można powiedzieć, że historya rządów austryackich w Galicyi jest uosobiona w Gołuchowskim. Jak Austrya pędzona falą dziejów, schodzi po jednym szczeblu z wyżyn obsolutyzmu, by dojść do jednéj z najliberalniejszych konstytucyi, tak hr. Gołuchowski idąc za prądem wiejącym z góry, z cichéj i posłusznéj sprężyny despotyzmu, przerabia się na dodatni czynnik narodowéj pracy. Czy zamierzał on dojść tam gdzie doszedł, to inne pytanie, dość że dziś staje on na gruncie polskim i użyteczną pracą przysługuje się polskiéj sprawie.

Szczegóły początkowéj działalności tego politycznego męża mało są znane. Wszedłszy w służbę administracyjną szybko przebiegł stopnie hierarchii urzędniczéj, dzięki czemu? czy zdolnościom swoim? czy zasługom wiadomym tylko austryackiemu rządowi? Nikt nie wie. W r. 1845 ujrzała go Galicya radzcą gubernialnym. Mimo młodego wieku (urodził się bowiem r. 1812) został hr. Gołuchowski mianowany w r. 1848 wiceprezydentem gubernialnym. Świeżo wyniesiony na godność gubernatora Galicyi Zaleski, wkrótce upadł, a wiceprezydent gubernialny posunął się się o jeden stopień i otrzymał tytuł Landeschef'a, a nakoniec namiestnika. — Tak szybkie wyniesienie się Polaka, szczególniéj w owych krytycznych chwilach obudziło ogólne podejrzenie, które zostało usprawiedliwione poniekąd do dziś dnia nie jasnemi dla ogółu czynami hr. Gołuchowskiego. — I tak trudno pojąć jakie miał ówczesny namiestnik przyczyny, zawiesić jedyne polskie pismo wychodzące we Lwowie. Jeszcze mniéj się rozumie dla czego oddał administracyą teatru Skarbkowskiego i zakładu Ossolińskich w ręce organów rządowych. Z tych kilku czynów i z dokumentów, które przytaczamy poniżéj, wnioskować by należało, że hr. Gołuchowski był w ówczas przedewszystkiem austryackim urzędnikiem.

Przytaczamy tu dwie odezwy podpisane przez hr. Gołuchowskiego, a dotyczące się wydania Moskalom, bawiących w Galicyi polskich wychodzców, z których rzeczywiście wielu dla téj przyczyny Sybir ujrzało.

Oto te smutnéj pamięci odezwy.

Nr. 8575. Wielmożny Panie! Względy na utrzymanie publicznego spokoju i bezpieczeństwa wymagają koniecznie, by przekradania się i pobytowi polskich poddanych i innych nieligitymujących się obcych w Galicyi, stanowczo koniec położyć. W tym celu urzędy obwodów graniczących z Królestwém Polskiém, otrzymały polecenie, by zarządziły jak najściślejsze strzeżenie granicy polskiéj i czuwały nad tém, by tacy nieligitymujący się niczém przybysze (Eindringlinge), zaraz zostali wydalani za granicę. Gdy jednak nietylko możliwą, ale i prawdopodobną jest rzeczą, że nie jeden z tych polskich przybyszów, wspierany przez narodowe stronnictwo, wciśnie się w głąb kraju, upraszam przeto Wielmożnego pana o natychmiastowe zarządzenie, by ci ludzie, czy to przez straż finansową, czy przez straż bezpieczeństwa, czy téż przez gminy będą schwytani, zostali zaraz odstawieni do lwowskiego magistratu. Każde odstawione indywiduum ma być przez magistrat sprawdzonem i w przeciągu 24 godzin z sprawdzeniem i posyłką do Krakowa, tutejszéj c. k. komendzie placu oddanem, która nad pewnem odstawieniem jego czuwać będzie. Ażeby przyjęcie tych ludzi ze strony rosyjskich władz nie było utrudnianem, upraszam WPana jak najusilniéj, ażebyś na to uważał, aby przynależność tych ludzi do Polski lub Rosyi, jako téż ich nieupoważnione przedzieranie się do Galicyi, było w sprawozdaniu ile możności wyjaśnioném.

O każdym wypadku takiego wydania nielegitymujących się przybyszów komendzie, ma mi być natychmiast sprawozdanie przedłożonem.

Zostaję z zupełnem poważaniem W. Pana uniżony sługa Gołuchowski m. p. We Lwowie dnia 24 Czerwca 1848.

Odpis rozporządzenia prezydyalnego pod dniem 3 Lipca 1848 do l. 9145 do wszystkich naczelników obwodowych wydanego:

Odnośnie do mego rozporządzenia z dnia 24 z. m. l. 8575, uwiadamiam W. Pana, że właśnie otrzymałem od gubernatora z Warszawy wiadomość, że jenerał-major Gartoff, naczelnik gubernii radomskiéj, otrzymał polecenie odbierania bez trudności w Michałowicach wszystkich w Galicyi schwytanych nielegitymujących się przybyszów z Królestwa Polskiego, których władze wojskowe w Krakowie wydawać będą, bez wdawania się w rozbiór przynależności tych indywiduów, skoro ze sprawdzenia osoby okazywać się będzie, że wcisnęły się do Galicyi z Królestwa Polskiego; jako téż że także pan gubernator z Lublina otrzymał polecenie tak samo zastósować się, ażeby te indywidua i na innych miejscach oddawczych, jeżeli będą przez wojskowość z powyższemi sprawdzeniami osoby oddanemi, bez trudności były przyjmowane. Stósownie zatém do tego zarządzenia Król. Polskiego jenerał-gubernatora rozporządzam, ażeby ci podejrzani przybysze z cyrkułów: wadowickiego, bocheńskiego i sandeckiego zostawali wraz ze sprawdzeniem osoby pod strażą wojskową do Krakowa do tamtejszéj wojskowéj wyższéj komendy odstawieni, która będzie o tyle dobrą, że postara się o wydanie ich na miejscu pogranicznem w Michałowicach, że daléj przybysze, którzy w obwodach: tarnowskim, jasielskim, rzeszowskim i sanockim zostaną schwytani, będą wojskowéj komendzie miasta obwodowego oddani, wraz z opisem osoby, ażeby przez tę komendę przy stacyi w Chwałowicach zostali wydani król.-polskim (moskiew-

skim) władzom i nakoniec, że wszystkie inne urzędy obwodowe mają takie podejrzane indywidua z opisem osoby wydawać wojskowym komendom, ażeby te z ominięciem miasta Lwowa zostały odstawione do granicznéj stacyi w Tomaszowie i tam wydane król.-polskim władzom. Ażeby wojska zanadto tém nie zatrudniać, starostom obwodowym w Żółkwi i Rzeszowie zostaną dodane znaczniejsze komendy straży bezpieczeństwa, która wspólnie z wojskiem zajmie się eskortowaniem do granicy; potrzeba tylko, by zawsze eskorta prowadzoną była przez oficera, któremu należy poruczyć oddanie przybyszów. O każdym wypadku takiego wydania należy mi zaraz donieść. Podobne polecenie wydaje się także magistratowi miasta Lwowa, któremu się poleca, by podejrzanych przybyszów, jacy się tu wcisnęli, przez Żółkiew do Tomaszowa wraz z opisem osoby odesłał. Wszystkich naczelników obwodów czynię odpowiedzialnymi za dokładne i energiczne przeprowadzenie, tych koniecznością nakazanych zarządzeń.

Lwów, dnia 3 Lipca 1848.

Gołuchowski w. r.

Te dwa dokumenta są zbyt wymowne ażebyśmy potrzebowali czynić uwagi nad stanowiskiem jakie hr. Gołuchowski zajął wtedy w obec swéj narodowości.

Zwyciężona we Włoszech Austrya uczuła że żelazne ogniwa któremi skuwała różnorodne narodowości swego państwa w jednako uciemiężone cesarstwo, prysną jeżeli nie nada ludom, które krzepiły mimo przeszkód rządowych swe indywidualne organizmy, większych swobód politycznych i narodowościowych. I tu niewiadomo czy dla zdolności jego, czy dla głębokości która umie się stosować do potrzeb chwili, hr. Gołuchowski został zaszczycony powołaniem go na ministra stanu. Miał on przelać absolutną Austryę w naczynie konstytucyjne bez uronienia ani jednéj kropli. Dzieła tego dokonał hr. Gołuchowski nakreśliwszy plan konstytucyi zwanej w dziejach parlamentarnych Austryi patentem październikowym z 1860 r. — Zwalony wkrótce przez Schmerliga usunął się hr. Gołuchowski z widowni politycznéj na czas jakiś. Dopiero nowa klęska Austryi 1866 r. wyprowadziła go z domowego życia.

Rakuskie państwo zmuszone znów zostało przez nową przegranę do szerszych ustępstw na rzecz ludów wchodzących w jego skład. Pierwszym objawem tego kierunku było mianowanie hr. Gołuchowskiego namiestnikiem Galicyi, która otrzymała kilka swobód i zapowiedź reform w duchu narodowym. Hr. Gołuchowski przybywając na dawną posadę, przyjęty był z radością jako zwiastun lepszéj doli. Zapomniano mu dawnych czynów, jakby licząc na to że nowo mianowany namiestnik idąc za prądem wiejącym z góry, zbliży się do kierunku narodowego. Nietyle jednak wyniesienie go jak demisya do któréj podać się musiał w skutek nieporozumień z ministerstwem, popchnęła go ku stronnictwu polskiemu w kraju. Opuszczając godność namiestnika objawił hr. Gołuchowski w mowie pożegnawczéj dążności najzupełniéj narodowe i tym sposobem postawił się w konieczności posuwania się naprzód na drodze prac interes polski mających na celu.

Tymczasem Galicya dobijała się coraz energiczniéj należnych jéj praw — dopominała się o rozszerzenie samorządu, o zabezpieczenie swobód któreby polskiemu elementowi pozwoliły rozwijać się i wzmagać. Ułożony akt żądań i potrzeb Galicyi i przedstawiony w Wiedniu nie otrzymał skutku, ale delegacya lwowskiego sejmu do Reichsrathu starała się z większym lub mniejszym taktem i powodzeniem o zaspokójenie życzeń kraju wyrażonych w owym akcie zwanym rezolucyą. Raz wszedłszy na drogę zwykle pochyłą ustępstw, przechylała się Austrya ku federalizmowi i powołany do steru rządów hr. Hohenwarth począł od powołania prezesa koła polskiego Dra Grocholskiego na ministra bez teki. Potém należało obsadzić miejsce dotąd nie zajęte namiestnika Galicyi. Mowa o któréj wyżéj i opinie w niéj wyrażone czyniły hr. Gołuchowskiego kandydatem do téj godności, tym więcéj że jako dawny zarządca kraju, obeznany był gruntownie z administracyą, z potrzebami téj dzielnicy Polski, z środkami jakie ona posiada i nareszcie ze wszystkiemi jéj politycznymi działaczami. Od kilku więc miesięcy zasiada znów hr. Gołuchowski na namiestnikowskiem krześle i idąc jak Austrya po pochyłości narodowéj, na którą wszedł mową przy otwarciu tegorocznego sejmu, zakreślił sobie sam drogę patryotyczną z któréj jak sądzimy już się nie cofnie. Tym sposobem Galicya spożytkuje wielkie zdolności tego męża stanu, który bez klęsk Austryi zadanych byłby był może został tém, czém rozpoczął swoją karyerę, to jest urzędnikiem bez barwy narodowościowéj.

Włostowicki.

Szarada.

Jeszcze nie zgadł szarady nikt przez pierwsze trzecie,
Choćby to był w istocie dość wygodny sposób,
Lecz mając własne wszystkie, łatwo ją zgadniecie,
Wiedząc że drugie znaczy najmniéj parę osób.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 41: *Kolebki.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu A. K. w N.: Przypominamy się o ciąg dalszy, nie mając bowiem całości w ręku, drukować nie możemy. — Panu I. Amborskiemu: Otrzymaliśmy, ale trochę późno, bo dopiero w środę. O resztę upraszamy. — PP.: Ofierzyński, Nieżychowski, hr. Kwilecki, Łakomicki, Graeve, hr. Żołkowski, hr. Skórzewska, Turno, hr. Potworowska, ks. Manicki, J. Drwęska, Zakrzewska, Trąmpczyński, Iłowiecka, hr. Szóldrski, hr. Tyszkiewicz, Węsierska, hr. Węsiersko-Kwilecka, Jeszke, Poleski, Sokolnicki, Walerya Ernst, Bronisława Wolniewicz, Wężyk, Łyskowska, Dr. Broeckere, Trzebińska, Dr. Szulc, Szuman, Dobrogojski, Chrzanowski, Kulesza, Łopiński, Modlibowski, przekazaliśmy poczcie; do urzędu więc pocztowego zgłosić się upraszamy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).